

**UWAGA!
CZARNY
PARASOL!**

**ADAM
BAHDAJ**



Adam Bahdaj
Uwaga! Czarny parasol!

© by Adam Bahdaj
© by Wydawnictwo Literatura



Okładka:
Olga Reszelska

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie III
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-576-5

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

UWAGA! CZARNY PARASOL!


LITERATURA

ADAM
BAHDAJ



CZEŚĆ PIERWSZA

Czerwony notes

- **D**okąd idziesz, Kubusiu?
- Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.
- Obiad będziesz miał w lodówce.
- Dziękuję, mam.
- Uważaj, żebyś nie przypalił kotleta.
- Niech się mama nie boi.
- Co masz zamiar robić?
- Przecież mówiłem, że mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.
- Mój drogi, żeby tylko nie było wsypy.
- O to nie ma obawy.
- A jednak pan Kowalski skarżył się, że posądziłeś go o kradzież wycieraczki.
- To się już wyjaśniło.
- Przeprosiłeś go?
- Oczywiście.
- A kto ukradł wycieraczkę?
- Pyszczyaty Bolek, ten od Sikorów.
- Ciekawa jestem, jak ty do tego doszedłeś?

– Ba, mam swoje metody. – Chłopiec wydał lekko wargi, zrobił tajemniczą minę i jeszcze o krok zbliżył się do drzwi. Miał ochotę ulotnić się, zanim matka przypomni sobie, że śmieci niewyniesione i że trzeba iść do pani Skarbińskiej po pończochy.

Spojrzał ukradkiem na matkę. Siedziała na małym taboreciku przed lustrem. Zaczesawała włosy. Miała pogodną twarz i łagodne wejrzenie. Kubusiowi bardzo się podobała. Uważał, że jest najpiękniejsza z wszystkich matek na świecie.

Mieszkali w nowych blokach na Sadybie. Prowadzili – jak matka zwykła mówić – kawalerską gospodarkę. Pani Pawlikowa była bowiem redaktorką w Polskiej Agencji Prasowej, pracowała o różnych porach dnia. Stale narzekała, że ma za mało czasu dla syna.

W czasie roku szkolnego Kubuś chodził na zajęcia świetlicowe w szkole. W szkole również jadał obiady. Teraz, gdy rok szkolny się skończył, a chłopiec przeszedł do piątej klasy, prowadził zupełnie samodzielne życie. Nauczył się nawet odgrzewać przechowywane w lodówce kotlety, gotować kawę, smażyć jajka i robić omlet, wspaniały omlet z dżemem. Jednym słowem, był to chłopiec samodzielny i nad wyraz zaradny.

Teraz, gdy patrzył na matkę, pomyślał, że właściwie wypadałoby wynieść śmieci, wstąpić do pani Skarbińskiej i zapytać, czy już oczka załapano w pończochach. Wahał się. Wnet jednak doszedł do przekonania, że śmieci i pończochy mogą poczekać do wieczora. On ma ważniejsze sprawy.

Już chciał nacisnąć klamkę, gdy nagle matka zatrzymała go gwałtownym gestem ręki.

– Zaczekaj... – jeszcze raz przeciągnęła grzebieniem włosy, wolno odwróciła się od lustra. – Jestem trochę zaniepokojona twoim zachowaniem... Ostatnio stałeś się strasznie tajemniczy.

– To się mamie tylko tak zdaje.

– Podobno nazywają cię Kubuś Detektyw?

Chłopiec splonął rumieńcem po same czubki uszu, utkwił spojrzenie w rzemykach sandałów. Wymamrotał niepewnie:

– No tak... ale co w tym złego?

– Oczywiście, że to nic strasznego, tylko... czy nie możesz wymyślić sobie jakiejś innej zabawy?

– To wcale nie zabawa – zaprotestował żywo.

– Jesteś na to za młody i możesz narazić się na nieprzyjemności. Podobno pani Kasprusiowa nakryła cię u siebie w mieszkaniu w szafie.

– To bujda! – krzyknął niemal Kubuś. – To nie była szafa, tylko skrzynia w sieni.

– A coś tam robił?

– Śledziłem starego Macieja, tego, co naprawia garnki.

Matka załamała rękę.

– Mój Boże, czy ty nie masz innego zajęcia!

– Chodziło przecież o kradzież kury z kurnika pani Kasprusiowej.

Na twarzy matki pojawił się przelotny uśmiech.

– Oczywiście wyśledziłeś złodzieja.

– Nie. To był nietypowy wypadek. Okazało się, że kurę zagryzł Zbój, ten kundel od Fariaszewskich.

Matka roześmiała się.

– Oj, Kubusiu, moje dziecko, kiedy ty nareszcie zmadrzejesz? Marzę o tym, żebyśmy nareszcie mogli wyjechać z Warszawy.

Przesłuchanie skończyło się szczęśliwie. Matka podeszła do szafy, wyjęła torebkę, zaczęła wrzucać do niej rozmaite drobiazgi: grzebyk, puderniczkę, portmonetkę, czystą chusteczkę, kalendarzyk... Kubuś podsunął się bliżej, szybko ucałował matkę w policzek i jednym skokiem znalazł się przy drzwiach.

– Ciao, mamusiu! – Pchnął mocno drzwi, wypadł na klatkę schodową. Odetchnął z ulgą: – Przeszło na sucho...

Na dole wyjął z kieszeni czerwony notes. Był to jego największy skarb. Na pierwszej stronie widniał wykaligrafowany dużymi literami napis: NOTATNIK DETEKTYWA. Dalej roilo się od tajemniczych, jemu tylko znanych zapisków. Spojrzał na ostatnią stronę. Wzrok jego zatrzymał się na zdaniu podkreślonym czerwonym ołówkiem: *Afera z wycieraczką zakończona dnia dwudziestego czwartego czerwca. Sprawca: Pryszczaty Bolek.*

Pomyślał, że okłamał matkę. Wszystkie zagadki kryminalne ostatnich dni zostały już rozwiązane. Właściwie nie miał nic do roboty.

Nie przejął się tym jednak. Wiedział, że każdy dzień przynosi coś nowego.

Szedł zamyślony, gdy nagle na ławce ujrzał Janka Pieroga, zwanego przez chłopców Leniwcem. Janek rozparł się wygodnie, zwrócił swą pełną, lśniącą twarz ku słońcu, przymknął oczy i z wyrazem błogiego nieróbstwa spluwał na ścieżkę.

– Ciao! – przywitał go Kubuś.

Leniwiec ledwie raczył rozkleić powieki.

– Ciao! – bąknął, nie zmieniając pozycji.

– Co robisz?

– A nic.

– Jak to: nic? Przecież siedzisz.

– Siedzę i tak sobie myślę.

– O czym?

– Że dobrze by było iść nad Wisłę.

– To dlaczego nie idziesz?

– Bo mi się nie chce.

– To dlaczego o tym myślisz?

– Bo tak przyjemnie świeci słońce i miło jest pomarzyć o Wiśle.

Wariat – pomyślał Kubuś, ale lubił Janka Leniwca, więc nie powiedział tego głośno. Po chwili jednak zapytał:

– Jak długo będziesz tu siedział?

– A czy ja wiem.

– W takim razie kapuj dobrze, czy nie będzie tu jakiegoś podejrzanego faceta.

Leniwiec szerzej otworzył oczy.

– A co to jest podejrzaný facet?

– Taki, co to niby chodzi jakby nigdy nic, a tymczasem coś kombinuje. Rozumiesz?

– Nie bardzo, ale dla ciebie będę kapował.

– No to ciao!

– Ciao! – ziewnął Leniwiec i z rozkoszą przymknął powieki.

Uwaga! Zginął jamnik

Słońce przypiekało przyjemnie. Świat był jasny, wesoły. Chmurka rozćwierkanych wróbli przepłynęła z wierzby na sąsiednie topole, a nad dachami krążyły gołębie.

Kubuś Detektyw szedł wzdłuż nowych bloków krokiem pewnym i zrównoważonym. Był zamyślony, poważny. Chwilę wspominał Leniwca. Jak ten typ może pół dnia bez ruchu przesiadzieć na ławce? Pewno już ma na pośladkach porządne odciśki. I w ogóle jak to jest, że rodzą się takie Leniwce? Kubuś był urodzonym myślicielem. Każdą sprawę gotów wytłumaczyć na swój sposób, ale dla lenistwa Leniwca do tej pory nie mógł znaleźć wytłumaczenia.

Naraz zatrzymał się. Przed sklepem samoobsługowym WSS ujrzał grupkę dzieciaków, a wśród nich korpulentną siwą panią w ciemnej, jedwabnej sukni i białym słomkowym kapeluszu. Poznał ją z daleka. Była to pani Szrotowa, żona doktora, babcia Zysia Szrota z 3b. Tkwiła w wianuszkach rozczochranych łebków, jak potężny głaz wśród jasnych kamieni. Mówiła coś z przejęciem i żywo gestykulowała.

Kubuś zbliżył się do zbiegowiska.

– Drogie dzieci – pani Szrotowa załamała ręce – jeżeli które z was znajdzie moją maleńką Krecię, to niech ją do mnie przyprowadzi. Mieszkam w bloku C, na drugim piętrze. Co za los, co za los! Taka biedna, kochana psina.

Ruda Kasia, która pierwsza z dzieci zauważyła zbliżającego się Kubusia, zawołała z przejęciem:

– O, jest, proszę pani, Kubuś Detektyw! On wykrył, kto pani Żalasińskiej ukradł wycieraczkę. On na pewno znajdzie pani Krecię.

– Przepraszam, o co tu chodzi? – odezwał się z godnością Kubuś.

Pani doktorowa wyciągnęła ku niemu ręce.

– Mój chłopcze, ja cię ozłocę, jeżeli odszukasz mi Krecię, moją kochaną jamniczkę...

– Bardzo panią przepraszam – przerwał jej Kubuś – najpierw muszę znać wszystkie okoliczności.

Dzieciarnia rozstąpiła się i z respektem przepuściła detektywa przed zatroskane oblicze pani Szrotowej, która zaczęła opowiadać z przejęciem:

– Wyobraź sobie, mój miły, poszłam ja do spółdzielni, a ten niegrzeczny kierownik mówi mi, że psów nie wolno wprowadzać. Więc co miałam robić? Przywiązałam Krecię do kraty. Załatwiłam kilka sprawunków, wychodzę, a tu... co za nieszczęście. Nie ma mojej biednej Kreci...

– Niech się pani nie martwi – pocieszył ją młody detektyw.
– Jeżeli do wieczora nie przyprowadzę pani Kreci, to będę największym patałachem.

Dzieciarnia zaszemrała z podziwu. Pani doktorowa jeszcze szerzej rozłożyła ręce, jakby go chciała objąć.

– Chwileczkę – powstrzymał ją Kubuś. – Najpierw muszę mieć dokładne dane. – Wprawnym ruchem wyciągnął z kieszeni notes, otworzył go na nowej stronie i zapisał: *Sprawa Kreci*. Potem spytał urzędowym tonem: – O której to było godzinie?

– Właśnie teraz, może przed pięcioma minutami.

Kubuś zerknął na zegarek.

– To znaczy o dziesiątej czterdzieści – zapisał i zapytał uprzejmie: – Jak długo była pani w spółdzielni?

– Żebym to ja wiedziała.

– To bardzo ważne.

– Powiedzmy, piętnaście minut.

– Piętnaście minut – zanotował skrupulatnie w notesie. –

Rasa psa?

– Jamnik długowłosa.

– Ile miał lat?

– Jeszcze nie miała roku, biedactwo.

– Maść?

– Brązowa, podpalana.

– Znaki szczególne?

– Lubiła bardzo słodyczne.

– Jaką miała obrożę?

– Rzemienią ze srebrnymi cekinami!

– A smycz?

– Zwykłą, także z rzemienia.

– Dziękuję. – Kubuś z trzaskiem zamknął notes i uśmiechnął się pocieszająco. – Proszę się nie przejmować. Do wieczora postaram się przyprowadzić pani Krecię. – Szurnął eleganc-

ko nogami, skłonił się, jak dżentelmenowi przystało, i z miną wielce tajemniczą oddalił się w stronę bloku D.

Ruda Kasia zwróciła swą piegowatą twarz w stronę pani doktorowej:

– A widzi pani, mówiłam, że Kubuś Detektyw wszystko pani załatwi.

Pani Szrotowa odprowadziła chłopca rozpromienionym spojrzeniem.

– Daj Boże, żeby mu się udało! Taki miły chłopiec!

Wyprawa po Krecię

Przy bloku D Kubuś skręcił w boczną ścieżkę. Spojrzał w górę, na drugie piętro, gdzie na jednym z balkonów aż kipiało od czerwonych pelargonii. Pomiędzy prętami balkonu ujrzał starą, połamaną trzepaczkę. Był to znak, że Hipcia jest w domu.

Kubuś ucieszył się. Chciał jak najszybciej podzielić się z adiutantem niezwykłą wiadomością. Wsadził dwa palce między zęby, świsnął dwa razy krótko, a raz długo, przeciągle.

Na ten sygnał na balkonie ukazała się drobna, figlarna twarzyczka Hipci.

– Ciao! – przywitała go dziewczyna.

– Ciao! – odkrzyknął Kubuś.

– Co nowego?

– Złaź, to ci powiem.

– Nie mogę. Uczę się.

– Teraz wkuwasz? Przecież już wakacje.

– Angielski. Mam dzisiaj ostatnią lekcję u pani Baumanowej. A co się stało?

– Zejdź, to ci powiem.

– Zaczekaj! – zawołała Hipsia. Jednym ruchem wciągnęła na balkon trzepaczkę, położyła ją na skrzynce z kwiatami, na chwilę znikła w mieszkaniu. Wnet na klatce schodowej zadudniły jej szybkie kroki, a potem w bramie ukazała się biegnąca sylwetka. Dziewczynka była drobna, ruchliwa jak żywe srebro. W obcisłych spodniach, w granatowym golfie wyglądała z daleka jak chłopiec.

– No, mów! – zawołała zdyszana.

– Nowa robota.

– Jaka?

– Ciekawa – odparł flegmatycznie i zaczął opowiadać o spotkaniu z panią Szrotową i zaginięciu Kreci.

– Myślisz, że ją ktoś zwędził? – zapytała Hipsia.

– Nie mam pojęcia.

– Albo sama uciekła.

– To trzeba sprawdzić.

Hipsia pokręciła głową.

– Ciekawa robota, ale jak ty znajdziesz w ogromnej Warszawie takiego małego jamnika? Przecież takich jamników jest w mieście chyba kilka tysięcy.

– Spokojna głowa. Jeżeli chcesz się przekonać, jakie w takim wypadku stosuję metody, to chodź ze mną. Może się czegoś nauczysz.

– A angielski?

Kubuś podrapał się z zakłopotaniem za uchem.

– Czy to takie ważne?

– Ba! Mamusia mówi, że bez znajomości obcych języków nowoczesny człowiek nie może żyć na świecie.

– To prawda, ale... – Kubuś zamyślił się głęboko. Naraz klepnął się w udo: – Mam świetny pomysł! Weźmiesz książkę, a jak będziesz na mnie czekała, to się nauczysz.

- Spróbuję! – zawołała wesoło Hipsia i biegiem wpadła do bramy.
- Zaczekaj – zastopował ją Kubuś.
 - A co?
 - Weź od mamy dwa złote.
 - Na co ci dwa złote?
 - Dla dziadka Kufla, na piwo.
 - A jeżeli mama mi nie da?
 - To nie znajdziemy Kreci.
 - Przepraszam, a co ma Krecia do dziadka Kufla?
 - Przekonasz się. To jest właśnie moja metoda.
 - Spróbuję. – Hipsia skinęła mu ręką, posłała jeden ze swych najmiłszych uśmiechów i podskakując, wbiegła na schody.

Dziadek Kufel

– **O** forse nie musisz się martwić – powiedział Kubuś, gdy zbliżali się do baru Pod Białą Różą.

Już dawno minęli nowe bloki, które teraz połyskiwały w słońcu srebrzystymi taflami okien i kolorowymi tynkami. Zagłębili się w labirynt wąskich, niebrukowanych uliczek. Szli wzdłuż niskich, walących się domów, wśród małych podmiejskich ogródków, gdzie pachniało kwitnącymi czeremchami i zalatywało z okien gotującą się strawą. Mijali czarne, obite papą gołębniki, przewracane płoty, kupy gruzów, długie baraki. Wkraczali w inny świat.

Hipsia z rosnącym zainteresowaniem przyglądała się swemu szefowi.

– Dwa złote to głupstwo – rzekła wesoło. – Mama dała mi na lody.

– Zwróć ci, jak tylko załatwimy ten interes.

– Głupstwo, to przecież wspólna kasa.

– Nie lubię, jak się kłamie.

– Ja też nie, ale lody miały być dla mnie. – Jeszcze raz zerknęła na zamyśloną twarz Kubusia. Chłopiec miał tak tajemniczą minę, jakby rozmyślał o podróży na Księżyc. HIPCIA nie mogła długo wytrzymać bez gadania. Denerwowało ją przedłużające się milczenie. Zagadnęła więc nieśmiało:

– Słuchaj, kto to jest ten dziadek Kufel?

– Nie znasz dziadka Kufla? – powiedział Kubuś zgorzony. – To przecież najważniejszy człowiek w całej okolicy.

– A co on robi?

– Pije piwo i wie o wszystkim, co dzieje się na Czerniakowie.

– A czym się zajmuje?

Kubuś uśmiechnął się tajemniczo.

– Jeżeli on wszystko wie, to nie musi się niczym zajmować.

– To ciekawe – powiedziała z namysłem HIPCIA. – Czy on będzie wiedział, gdzie się podziała Krecia?

– Nie. On nie zajmuje się takimi drobnymi sprawami.

– W takim razie po co do niego idziemy?

– Nie martw się. Wszystko będzie w porządku.

Stanęli właśnie przed barem Pod Białą Różą. Budynek nie wyglądał okazale. Parterowy dom na podmurówce z czerwonych cegieł, o żółtych odrapanych ścianach, stał wśród otaczających go szop i baraków. Spoglądał na niezabrukowaną ulicę dwójgciem zakurzonych okien. Za jednym oknem tkwił półmisek z kiszącymi w jakiejś szarej cieczy śledziami i kilka butelek krajowego wina; w drugim widniał wyblakły afisz zachęcający do gry w totolotka. Z otwartych drzwi płynęła smuga zapachów – dymu z papierosów, cierpkiego piwa i niezbyt świeżych rolmopsów.

O tej porze w barze było jeszcze cicho i pusto. Tylko z głośnika radiowego snuła się tęskna melodia wygrywana na skrzypcach.

Kubuś zatrzymał się.

– Zaczekaj na mnie – powiedział do Hipci. – Ja to szybko załatwię. Tymczasem możesz wkuwać angielskie słówka dla pani Baumanowej.

Hipcia skrzywiła się.

– Eee... ja też bym chciała zobaczyć dziadka Kufla. Czy on tam jest na pewno?

– Murowane. Jeżeli go nie ma, to znaczy, że umarł.

– To pójdę z tobą. Chcę poznać twoje metody.

Kubuś skinął niechętnie.

– Chodź, tylko proszę cię, nie otwieraj dzioba, bo wszystko możesz sknocić!

Weszli do pierwszej sali. W głębi połyskiwała wypolerowana lada i nikłowy ekspres do parzenia kawy. W kącie nad niedopitym kufelkiem drzemał jakiś pijany drab. Za ladą, w białym kitlu, tkwiła bufetowa. Kubuś uklonił się elegancko.

– Dzień dobry pani. Czy zastałem dziadka Kufla?

– A, jest tam, w ogródku – odpowiedziała niechętnie. Miała minę zawiedzionej księżniczki.

W ogródku panował miły cień. Gęste krzewy bzu i jaśminu otaczały niewielką przestrzeń zastawioną żółtymi stolikami i kulawymi krzesłami. W kącie, niemal w samym gąszczu cienistych krzewów, oparty o krawędź stolika drzemał dziadek Kufel.

Była to przedziwna figura. Na jego widok Hipcia omal nie parsknęła śmiechem. Jednak mocny kuksaniec Kubusia przywołał ją do porządku.

Dziadek był okrągłutki jak bilardowa kula; miał czerwoną, przekrwioną twarz, wielki, bulwiasty nos, małe, śmiejące się

oczy, łysą, jakby wypolerowaną czaszkę. Do tego zadzierzyście, z fantazją podkręcone wąsiska z żółtym nalotem od tytoniowego dymu.

Ubrany był przedziwnie – ni to błazen cyrkowy, ni to stary arystokrata z angielskich opowiadań dla dzieci.

Miał na sobie czarny żakiet, który w żaden sposób nie chciał leżeć na pulchnym karku ani opiąć okrągłego brzuszka. Spod żakietu wyglądała flanelowa koszula w szkocką kratę. Jego króciutkie nóżki tkwiły w sztuczkowych spodniach, a nagie stopy w czarnych kaloszach. Widać było, że części tej dziwacznej garderoby pochodzą z odległych czasów, gdyż szwy żakietu popękały już na plecach, a spodnie były tak wystrzępione, jakby je myszy posiekały.

Mimo to staruszek miał minę największego eleganta.

Na widok dzieci otworzył jedno oko i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Kogóż to moje stare oczy widzą? – zagadnął tubalnym, dobrze już zdartym głosem.

– Dzień dobry, dziadku. Ładną dzisiaj mamy pogodę.

Staruszek ziewnął przeciągle. Otworzył drugie oko.

– Znakomitą, tylko te przekłete muchy nie dają spokoju.

– Mam nadzieję, że dziadka dzisiaj w kościach nie łamie?

Dziadek przeciągnął się, aż ciasny żakiet zatrzeszczał w szwach.

– Dzięki Bogu, nic mnie dzisiaj nie łamie. – Nagle uśmiechnął się ciepło: – A ty, mój kawalerze, jak się trzymasz?

– Dziękuję, zupełnie dobrze.

– A jak zdrowie szanownej mamusi?

– Dziękuję, w porządku.

– A braciszka?

– Dziękuję.

– A babci?

– Babcia, dzięki Bogu, zdrowa.

Hipcia z rosnącym zdumieniem przysłuchiwała się tej kwiecistej wymianie grzeczności. Gdy dziadek dojechał do babci, trąciła łokciem Kubusia.

– Przecież ty nie masz ani babci, ani brata.

– Ts! – ofuknął ją chłopiec. – Nie przeszkadzaj. Dziadek lubi się wypytywać, to co ci szkodzi.

Hipcia wzruszyła ramionami. Nie mogła się doczekać, kiedy przystąpią do sprawy Kreci. Widocznie metoda Kubusia wymagała cierpliwości.

Tymczasem dziadek poprawił swą wielką muszkę w groszki, chrząknął, przejechał dłonią po łysinie. Nagle spojrzał bystro i zagadnął:

– A ty do mnie w jakiej sprawie?

Kubus zrobił naiwną minę.

– Ja?... A tak sobie. Przechodziliśmy tędy, więc pomyślałem, że dobrze by było dziadka odwiedzić.

– No, no – zaśmiał się staruszek – bardzo to ładnie, że nie zapominasz o dziadku!

– Nie, nigdy! – zaprotestował żywo. – Pewno dziadek jeszcze dzisiaj piwka nie pił?

W oczach staruszka pojawiły się wesołe błyski.

– Jakbyś zgadł, nie piłem.

– To jakie mam przynieść?

– Kufelek jasnego, tylko z kołnierzykiem.

– Już się robi! – Kubus zakręcił się na pięcie i znikł w drzwiach prowadzących do bufetu.

– Żłoty chłopak. Żłoty chłopak! – wyszeptał dziadek z uznaniem i z rozkoszą oblizwał suche wargi.

Przy piwku rozbudził się na dobre. Jego niebieskie oczy tryskały teraz radością, a na księżycowym obliczu malowa-

ło się zadowolenie. Zdmuchnął lekką piankę, z rozkoszą zanurzył spieczone wargi w chłodnym, złocistym płynie. Potem pociągnął, aż zachlupotało w kufelku.

– Niezłe, niezłe – powiedział – ale to jednak nie to, co przedwojenny okocim!

Dziadek odstawił kufelek.

– No, a teraz mów, o co ci chodzi – powiedział filuternie, mrużąc oko.

– Właściwie to o nic.

– Ja cię znam! – zaśmiał się dziadek. – No proszę, powiedz, jaką masz do mnie sprawę.

Kubuś przełknął głośno ślinę.

– Może dziadek się orientuje – zaczął powoli i ostrożnie – kto tutaj w okolicy zajmuje się pieskami?

– Pieskami, mówisz? – uniósł dłoń do czoła. Zamyślił się.

– Tak – wyjaśnił mały detektyw. – Jednej pani zginął jamniczek, bardzo się z tego powodu zmartwiła.

– Zaraz, zaraz... – Dziadek z przejęciem tarł łysinę. – Już mam! Coś mi się widzi i czuję w kościach, że to Toluś Poeta. Znasz Tolusia Poetę?

– Nie.

– To go poznasz. Bardzo ciekawy człowiek. I mądry, ho, ho! A że ma słabość do rasowych piesków, to chyba nie jego wina, tylko psów.

– A gdzie on mieszka?

– Tu, niedaleko, na Jeziornej pod czternastym. Zapytasz o Tolusia Poetę, to ci każdy powie. – Naraz ściszył głos: – Tylko nie mów, że ja ci to powiedziałem, boby się na mnie obraził. I w ogóle delikatnie z nim, bo to wrażliwa, artystyczna dusza.